

# Piękny film o zabijaniu

[podpis] ROZMAWIAŁ PAWEŁ T. FELIS ;TADEUSZ SOBOLEWSKI

[ DGW RP ] - Gazeta Wyborcza nr 50, wydanie z dnia 01/03/2014Kultura, str. 13

Joshua Oppenheimer mówi publiczności: "Nie życzę wam przyjemnego odbioru. To film o tym, czym jest człowiek". W kinach jego "Scena zbrodni" o ludobójstwie w Indonezji, obsypany nagrodami kandydat do Oscara.

-----

Rozmowa z Joshuą Oppenheimerem dokumentalistą, autorem "Sceny zbrodni"

-----

PAWEŁ T. FELIS: Dlaczego spędził pan w Indonezji aż 12 lat?

JOSHUA OPPENHEIMER: Do 2001 r. nic o tym kraju nie wiedziałem. Kręciłem w Londynie eksperymentalne dokumenty, kiedy Międzynarodowy Związek Pracowników Branży Spożywczej poprosił mnie o zrobienie dokumentu w Indonezji. Chodziło o belgijską firmę pozyskującą olej palmowy, która wykorzystywała kobiety do pracy w niebezpiecznych warunkach: musiały bez żadnych środków ochronnych rozpylać herbicyd, który je zabijał. Umierały przed pięćdziesiątką.

Tak powstał pana film "The Globalization Tapes".

- Chciałem pokazać drastyczną potrzebę zaistnienia związków zawodowych. Ale w Indonezji działalność związkowa oznaczała wyrok śmierci. Dowiedziałem się o Unii Pracowników Plantacji, która próbowała walczyć o poprawę warunków pracy w latach 50. i 60. Większość członków Unii zamknięto w obozach koncentracyjnych lub zabito. Zacząłem dopytywać, zbierać coraz bardziej przerażające historie. Śledziła nas policja, moi bohaterowie bali się, wiedzieli, co ich czeka, kiedy wyjadę. A jednak poprosili: "Przyjedź tu jeszcze raz, musisz opowiedzieć o tym, dlaczego się boimy". I wróciłem.

Ale "Scena zbrodni" to film o zabójcach, nie ofiarach.

- Nie miałem wyjścia. Ci, którzy przeżyli, byli zbyt przerażeni. Indonezyjski rząd ich obserwuje, inwigiluje, szuka najmniejszych, nawet absurdalnych "dowodów" na związek z komunistami. Jeden z przyjaciół zasugerował: porozmawiaj z zabójcami, kilka domów dalej mieszka jeden z nich. Wziąłem kamerę, zapukałem i z miejsca usłyszałem historię o tym, jak dzisiejszy szef plantacji pół wieku temu utopił kilkaset osób. Mówił o tym z dumą. Zrozumiałem, że to temat na film.

Część mojej rodziny wyjechała z nazistowskich Niemiec w ostatnim momencie. Ale reszta zginęła, zwłaszcza ze strony mojej macochy, wiedenki. Ten bagaż niosę całe życie. Kiedy zacząłem rozmawiać z oprawcami z Indonezji, towarzyszyło mi poczucie całkowitego

absurdu. Czułem się trochę tak, jakbym w Niemczech 40 lat po wojnie rozmawiał z zadowolonymi z siebie nazistami. Zrozumiałem jednak, że te sytuacje różnią się zasadniczo: hitlerowcy zostali osądzeni. W Indonezji mordercy tworzą korupcyjną sieć, wspierają się nawzajem.

Od początku główną postacią "Sceny zbrodni" miał być Anwar Congo?

- Początkowo miał nim być Amir Hasan, dawny nauczyciel aktorstwa. Zabrał mnie nad rzekę, żeby pokazać, w jaki sposób odcinał tam ludziom głowy. Miał wielką ochotę odegrać rolę samego siebie z tamtych czasów. Wycofał się, kiedy w tsunami stracił dwójkę dzieci.

Anwar od razu się wyróżniał. Potrafił tańczyć w miejscu, w którym wiele lat wcześniej zabił tysiąc osób, z uśmiechem na ustach prezentował metodę duszenia za pomocą linki. Gdy pokazałem mu gotową scenę, narzekał na spodnie, które założył podczas kręcenia. Ale ten król życia i miłośnik filmów ma też inny rys. Mówi, że jest dobrym tancerzem, bo przez całe życie pił i brał narkotyki, więc nauczył się zapominać. Im bardziej go poznawałem - a trwało to siedem lat - tym wyraźniej stało się dla mnie jasne, jaki ślad zostawiły w nim tamte wydarzenia. Stąd biorą się koszmary, stąd może duma z zabijania - dzięki niej sam przed sobą stworzył iluzję, że wszystko było w porządku. "Mam nadzieję, że to będzie piękny, rodzinny film o zabijaniu" - powiedział mi kiedyś. Chyba o to właśnie mu chodziło: jeśli film będzie "piękny", to traumę uda się znowu chociaż na trochę zagłuszyć.

Paradoks polega na tym, że w "Scenie zbrodni" korzystający z kolonialnych porządków zabójcy przedstawiają się jako zagorzali patrioci i nacjonałiści.

- Jak powiedział kiedyś Oscar Wilde, "patriotyzm jest cnotą ziejących nienawiścią". Po powojennym uzyskaniu niepodległości indonezyjską lewicę spacyfikowano poprzez brutalną kontrewolucję, a wraz z nią ludobójstwo z 1965 r. Do władzy wrócili ci, którzy kiedyś współpracowali z Holendrami. A ponieważ nie mogli otwarcie mówić: "wracamy do dawnych, kolonialnych porządków", uderzyli w tony nacjonalistyczne i antykomunistyczne.

Oglądając "Scenę zbrodni", nie sposób uwierzyć, że ludzie zdolni byli do zarzynania tysięcy osób tylko dla samej "przyjemności zabijania".

- Anwar wiedział, że morduje sąsiadów, niewinnych ludzi, dzieci. Ale wołał uwierzyć, że są winni. "Ten mężczyzna, który wzywa do modlitwy, był komunistą - mówi. - Dobrze, że nie wpadł wtedy w moje ręce, bo byłby już martwy". Jaki komunistą? To jego sąsiad, zna go od lat! Ale wiara w fikcję to, jak mówi, "jedyne sposob, żeby nie czuć się winnym".

Karmiono ich propagandą. "Musisz zabijać coraz więcej. Jeśli ich nie zabijesz, oni zabiją ciebie". Nie spotkałem nikogo, kto zabijałby z powodów ideologicznych. Ideologia była świetną wymówką.

A może to był obłęd, który zarażał jak wirus?

- Nie, ludobójstwo było świetnie zarządzane przez armię. "Zabijanie to największe przestępstwo, jakie możesz popełnić. Ale jeśli wynagrodzenie jest dobre, warto to zrobić" - uważa Adi. Zabijano dla pieniędzy, władzy i profitów. Niektórzy dorobili się wielkich majątków, inni mniejszych. Wszyscy ustawili się na lata.

Jakie znaczenie miało uwielbienie zabójców dla amerykańskich filmów?

- Nie wierzę, że przemoc w kinie wywołuje przemoc realną. Wielu zabójców nigdy nie było w kinie, a jednak zarzytało ludzi maczetami. A Anwarowi zdarzało się też zabijać po obejrzeniu musicalu z Elvisem Presleyem.

Namawia pan dawnych oprawców, by specjalnie na użytek pańskiego filmu "odgrywali" zbrodnie sprzed lat.

- Kochali amerykańskie filmy - tego ode mnie oczekiwali. Uważam, że za każdym razem, kiedy włączamy kamerę, także kręcąc dokument, kreujemy rzeczywistość. A skoro tak, to dlaczego nie stworzyć fikcji, która pokaże prawdziwe wydarzenia? W "Scenie zbrodni" mordercy pokazują siebie tak, jak chcieliby, żeby ich zobaczył świat - i jak sami siebie widzą. To film o kreowaniu mitu, również na własny temat. O potrzebie narracji, stwarzaniu sobie iluzji, na której zasadza się każdy reżim.

Musiał pan czasem udawać, że w rzeczywistości kręci fabułę?

- Nie. Ale najbardziej interesowały ich sceny fabularyzowane. Prowadziłem z nimi inną grę. Tłumaczyłem: "Zrobiliście coś, co miało ogromne konsekwencje dla kraju i świata, chcę to zrozumieć". Nie mogłem pokazać, jak jestem tym przerażony, powiedzieć, że prowadzę dochodzenie o naturze zła. Ale mogłem pytać, jak zabijali ludzi, jak torturowali, skoro tym się szczycą.

Był moment, kiedy pomyślał pan: "To za dużo, trzeba to przerwać"?

- Choćby wtedy, kiedy Herman Koto, gangster kandydujący do parlamentu, zaprosił mnie z kamerą na bazar w Medanie. Chciał pokazać, w jaki sposób ściągają od sprzedawców haracz. Przerażająca sytuacja: filmuję przemoc, ale rzeczywistość, nieinscenizowaną - to dzieje się na moich oczach. Wiem, że ludzie powinni to zobaczyć. Wiem, że jeśli wyłączę kamerę, haracze i tak będą zbierane. Ale jak daleko można się posunąć, żeby pokazać mentalność, która doprowadziła do ludobójstwa i wciąż obowiązuje? Wytłumaczyłem potem sprzedawcom, po co tu jestem, dlaczego to nakręciłem. Zwróciłem im pieniądze. Ale i tak nie przyszło mi to łatwo.

Pokazywał pan "Scenę zbrodni" w Indonezji?

- Oficjalna dystrybucja jest niemożliwa - cenzura. Zorganizowaliśmy za to wiele mniej lub bardziej nagłośnionych pokazów specjalnych, m.in. dla indonezyjskich intelektualistów. Rozdawaliśmy DVD. A od 30 września każdy, kto mieszka w Indonezji, może bezpłatnie ściągnąć film z internetu.

Pierwsze reakcje?

- Po pokazie dla dziennikarzy szef największej indonezyjskiej gazety "Tempo" wysłał kilkadziesiąt osób, by w całym kraju zbierały zeznania osób uwikłanych w ludobójstwo. Przygotowano specjalne 75-stronicowe wydanie z zeznaniami. Odzew był niesamowity. Nigdy wcześniej w mainstreamowych mediach o tym nie mówiono - poza talk-show, który pokazuję w filmie.

A władze?

- Rząd uznał, że nie łamano wtedy prawa. "Gdybyśmy nie zrobili tego wtedy, dziś Indonezja nie byłaby tym, czym jest" - powiedział. Co akurat zapewne jest prawdą.

Najważniejsze, że wieloletnia cisza została przerwana. Mój film działa jak dziecko, które w baśni Andersena mówi: "Król jest nagi". Nic już nie może być tak jak wcześniej. Nie można pociągnąć do odpowiedzialności 10 tysięcy osób. I nie powinno się - to wywołałoby wojnę domową. Indonezja musi jednak ograniczyć udział kryminalistów w polityce.

Wierzy pan w pojednanie?

- Wierzę. Ale możliwe jest tylko wtedy, gdy cała prawda wyjdzie na jaw.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ T. FELIS

-----

Cała rozmowa na [Wyborcza.pl/kultura](http://Wyborcza.pl/kultura)

JAK ZACISNAĆ DRUT WOKÓŁ SZYI

Dokument otwiera cytat z Woltera: "Zabijanie jest zabronione, chyba że zabija się wielką liczbę i przy dźwięku trąb".

W Indonezji w latach 60. pod pozorem walki z komunizmem i przeciwstawienia się wpływom Chin wymordowano milion ludzi. Każdy mógł zostać "komunistą".

Urodzony w Teksasie Joshua Oppenheimer przed kamerą aranżuje rodzaj psychodramy z dawnymi bojówkarzami. Bez oporów gotowi są odtwarzać przed kamerą sceny zabijania. Wiedzą, że "Bóg był przeciw komunistom". Tłumaczą, jak zaciskali drut wokół szyi ofiary, żeby się nie brudzić krwią i nie czuć okropnego zapachu. I jak odreagowywali tę pracę tańcem i marihuaną. Tańczą przed kamerą. Śmieją się.

Powiniennem napisać: to wstrząsające. Ale przecież nieustannie oglądamy relacje zbrodniarzy. Ci z Indonezji, inaczej niż np. ci z Kambodży, uważali się za antykomunistów. Porównują siebie do gangsterów z amerykańskiego kina wykonujących brudną robotę. To ich uwzniośla. Tłumaczą przed kamerą: "Gangster równa się człowiek wolny". Do dziś "komunista" w Indonezji kojarzy się z kimś, komu nie wolno ufać. Dawni mordercy chodzą w glorii.

Już wiemy - po "Shoah" Claude'a Lanzmanna, niezliczonych filmach o Zagładzie, literaturze łagrowej, reportażach o Rwandzie - do czego zdolny jest człowiek. Historia stara jak świat. Jednak coś jeszcze w tym filmie naprawdę zdumiewa i przeraża. Oglądamy przygotowania do psychodramy - wielkiego "show" o zabijaniu: bajkowe stroje; kiczowate sceny baletowe, w których dusze pomordowanych idą do nieba; telewizyjny show, w którym dawni zbrodniarze są oklaskiwani...

Co to wszystko znaczy? Kto to aranżuje? Wszystko to razem przypomina film Piotra Szulkina "Ga, ga: Chwała bohaterom" - świat, w którym każdy mógł zostać mordercą i dostać za to status kombatanta. W świecie telewizyjnych kretyńskich show znika pojęcie zbrodni, winy,

zła. To dopiero wydaje się przerażające. Wszystko jest grą, sensacją, towarem na sprzedaż. To, co było, znów staje się możliwe.

Oppenheimerowi udaje się dotrzeć do świadomości jego bohaterów. Oni naprawdę myśleli, że zagrają w pięknym filmie o mordowaniu. Oppenheimer za pomocą charakteryzacji przemienia dawnych zbrodniarzy w ofiary. Za ich zgodą. W dawnym miejscu tortur, które dziś jest magazynem, jeden z oprawców ubrany w żółty garnitur jak z cyrku, trzymając przed kamerą drut, którym dusił setki ludzi, dostaje nagle torsji. Staje się na powrót człowiekiem.

Oppenheimer uważa, że "rekonstrukcja rzeczywistości stała się dla tych ludzi przeżyciem bardziej realnym niż to, co robili wtedy".

**TADEUSZ SOBOLEWSKI**

Dawni oprawcy, ludzie zakochani w amerykańskim kinie, byli zachwyceni, że sami mogą stać się gwiazdami filmu. W inscenizacjach mordów, ucharakteryzowani, odgrywają także ofiary

[autor fot./rys] AGAINST GRAVITY; DANIEL BERGERON  
RP-DGW

Tekst pochodzi z Internetowego Archiwum Gazety Wyborczej.